

Boże Narodzenie w Mirogonowicach



Muzeum Etnograficzne, Wdzydze, fot. brusy.net

Zofia Reklewska-Braun

Przywołuję w pamięci Boże Narodzenia w Mirogonowicach. Samą mnie przy tym zastanawia, dlaczego nie pamiętam żadnej bożonarodzeniowej radości z tamtych lat? Może jej nie było wcale?

Nie - nie chcę tak myśleć. Nie chcę nadmiaru smutku. Nawet, jeśli był prawdą.

Najpierw odbywało się łowienie ryb w stawie. Oczywiście karpie. Przed dworem mirogonowskim były dwa stawy, trochę poniżej wzniesienia, na którym stał dom. Porządnie utrzymane i zarybione. Łowienie odbywało się kilka razy do roku, ale to wigilijne było szczególne. Potrzeba było karpie na stół dworski i czeladny.

Mam w oczach taką chwilę: stoję w kaloszach i rajtuzach (zawsze wałkujących mi się

na nogach, czego nie cierpię) w przyzwoitej odległości od stawu, pod czujnym okiem surowej panny Gieni i patrzę na staw pokryty lodem, spod którego, z przerębli kilku mężczyzn wyciąga sieci. Ciągną je po lodzie do brzegu. Błyszczące srebrną łuską białe brzuchy ryb połyskują na lodzie.

Wracamy do domu i już od sieni słyszymy wołanie, chyba Teresy, że *choinka będzie tym razem w salonie!* Nie pamiętam, jaki był rytuał, ale zdaje mi się, że bywała czasem w salonie, a czasem w saloniku. Może niekiedy w stołowym? Ścinana w naszym lesie, ubierana wyłącznie w zabawki robione przez nas ze zrzyneków kolorowych papierów kolekcjonowanych cierpliwie cały rok, z wydmuszek, skorupki orzechów i słomki. Nieśmiertelna gwiazda zwieńczała szczyt drzewka, przypominając, że istotą Świąt Bożego Narodzenia jest Jezus ze stajenki betlejemskiej. My, małe dzieci, oglądaliśmy ją dopiero po wieczery wigilijnej, która się odbywała zawsze w jadalni przy dużym stole. Wielki tłum domowników i gości, ruch, gwar, rozmowy. Dzielenie się opłatkiem.

Wigilia niezmiennie taka sama: zupa grzybowa, barszcz z uszkami, kapusta z grzybami, karp smażony z tłuczonymi ziemniakami i przysmak dzieci: mak ucierany z bakaliami i bitą śmietaną, po wieczery zapalone świece na choince i kolędy. Prezentów bywało bardzo mało – prawie ich nie pamiętam. Najczęściej były to jakieś drobiazgi zrobione w domu: szaliki, czapeczki, wyszywane chusteczki, czy coś takiego. Ale nastrój wspólnego śpiewania, modlitwy, radość z błyszczących na choince żywych świateł. Raz wybuchł pożar, od świecek oczywiście. Straszliwy popłoch, wszyscy się rzucają gasić, ktoś przynosi wodę... Nie stało się nic strasznego, na szczęście!

W okresie od Świąt Bożego Narodzenia do Trzech Króli stałymi gośćmi we dworze bywali chłopcy wiejscy z „Szopką”. Przychodzili wesoło pokrzykując, śpiewając kolędy i kantyczki, z gwiazdą i Turoniem, a co najważniejsze: z własnoręcznie zrobionym teatrzykiem kukiełkowym, który animowali po amatorsku wprawdzie, ale ja zawsze zachwycona byłam tą maleńką próbką prawdziwej sztuki teatru, którą jako dorastająca dziewczyna pokochałam wielką miłością.



Kolędnicy

Za to Nowy Rok upamiętnił mi się, jako święto stangretów i fornali. Był to specjalny gatunek służby dworskiej. Stangreci powozili pojazdami „pańskimi”. Fornale zaś wozami gospodarczymi. Ze stangretami spotykaliśmy się zawsze jadąc gdziekolwiek, na przykład do kościoła w Waśniowie, czy do Grzegorzowic do Isi, czy do Czajęcic do Tadeusza. Pamiętam zwłaszcza tego jednego o nazwisku Gajec. Słyszałam często wykrzykniki w rodzaju:

Niech Gajec zaprzęga!

Gajec zajeżdża!

Gajec zajechał i czeka przed gankiem!

Dzieci spieszcie się, bo Gajec już przed domem!

Mama szczególnie go lubiła, bo był tym, który wioził Ojca tego ostatniego dnia 27 grudnia 1939 roku z piekarni w Ostrowcu do Waśniowa i był naocznym świadkiem jego śmierci. Toteż on przeważnie woził nas bryczką. Ale było ich więcej.

Zapamiętałam ich wszystkich z pewnego Nowego Roku, może to był ostatni Nowy

Rok w Mirogonowicach?

Stali, może w pięciu, może w sześciu, a może nawet kilkunastu... Mnie, dziecku nieumiejącemu jeszcze liczyć, oglądającemu tę scenę przez okno, z buzią przyklejoną do szyby, wydawało się, że było ich bardzo dużo. Stali na okrągłym trawniku, wokół którego zawsze zakreślały pojazdy zajeżdżające przed frontowy ganek. Śniegu nie było, tylko mróz i szron obficie przykrywający przemrożoną trawę, gdzieś dalej drzewa i krzewy okalające staw, dach czeladnej kuchni na lewo i oficyny po prawej. Właśnie Gajec wszedł do sieni i tak jakoś uroczyście woła:

Pani Dziedziczko, Pani Dziedziczko, prosimy na ganek, będziem strzelać z bata na wiwat!

Mama pospiesznie zawiązuje jakiś ciepły kapturek pod brodą, narzuca na siebie futro i wychodzi na ganek z przygotowaną już wcześniej na tę okazję tacą w rękę. Na tacy kieliszki i karafka z wódką. Mnie wolno oglądać to widowisko tylko przez okno, *bo za zimno na ciebie, Zosiuchna!*

Patrzę więc dalej przez szybę, jak rozstawieni w zgrabny szyk mężczyźni, z zachowaniem znacznych odstępów między sobą, pochyleni całym tułowiem lekko ku przodowi, odkręcają się równocześnie w prawo i nadając rozmachu biczom – strzelają! Równo, symetrycznie, tym samym rytmem wydobywają czarujące dla mnie dźwięki z rzemiennych batów. W przejrzystym, mroźnym powietrzu migają tylko supły powiązane w regularnych odstępach na długich, szerniałych od czasu i używania rzemieniach. Moje małe, dziecięce serce napęła uczucie irracjonalnej trochę dumy, że to moją Mamę tak oni fetują w Nowy Rok..

W parę lat później, w Ostrowcu, zdobywszy skądś kawałek rzemienia, próbowałam sama tak „strzelać”. Ale nigdy mi nie wychodziło to tak wspaniale, jak im tam, w Mirogonowicach.

Jednej Wigilii, zaraz po śpiewaniu kolęd, stanęłyśmy z ciotką Halą przy oknie wychodzącym na ogród. Właśnie gaszono świeczki na choince i można było bezpiecznie podnieść rolety. Bo w czasie całej okupacji zasłaniało się okna szczelnie czarnymi roletami, nieprzepuszczającymi ani odrobiny światła z wewnątrz na zewnątrz z obawy przed nalotami niemieckich bombowców. Leżał już śnieg. Ciotka

powiedziała:

Zobacz Zosiuchna jaki piękny księżyc!

Światło księżyca wydobywało kontury drzew i krzewów, odcinając je od zszarzałej bieli śniegu. Wewnątrz domu było już zupełnie ciemno. Stałam zachwycona tym rzadkim pięknem bożonarodzeniowej zimowej nocy.

Fragment książki wspomnieniowej „Urodziłam się pomiędzy...” (Wydawnictwo Norbertinum, Lublin 2009).

O dworze w Mirogonowicach:

Wielkanoc w mirogonowskim dworze

Fotogaleria



Zofia Reklewska-Braun po przyjeździe do USA, fot. arch. rodzinne.



Zofia Reklewska-Braun i Kazimierz Braun z córką i wnuczkami w domu w Buffalo, fot. arch. rodzinne.